Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. **No. 4.** Leszno, dnia 23. Lipca 1836.



Chłopi Mazowieccy w lesie.

Chłopi Mazowieccy w lesie.

Jeden do Sasa,
Drugi do lasa.

Dla wieśniaka naszego las był dawniéj ową ostatnią ucieczką w biedzie, kiedy już zkądinąd ratunku nie było; albowiem do boru zwykł był uciekać z żoną, dziatkami i dobytkiem swoim przed drapieżnym najeźdźcą, łupiącym jego siedzibę w czasie rozruchów wojennych; do boru uciekał się także po zasiłek w potrzebie: furka drzewa, klocek lub dębczak pokryjomu urąbany, zawieziony do miasta, starczył na sól i kieliszek wódki, bo innych wydatków nie znał dawniéj włościanin, kiedy jeszcze potrzeby były mniéjsze, a ziemia lepiéj rodziła. Z boru także miewał bez opłaty własny opał, drzewo na wszelkie porządki gospodarskie: tam pasał trzody swoje, zbierał jagody, orzechy i grzyby. Nie dziw zatém, że go uważał za swe schronienie, za rzecz konieczną, bez któréj obejść się żadną miarą niepodobna. Dla tego téż po wsiach bez boru, włościanie zazwyczaj byli ubożsi i w większéj żyli nędzy.

Powyższy obrazek, przez panią M. wykonany, wystawia nam wieśniaków w boru, grzejących się nocną porą przy ognisku. Dla mieszkańców miasta ma taka scena coś powabnego, romantycznego. Pod wysokim dębem rozniecony ogień, z suchych gałęzi, palących się z trzaskiem: kłęby dymu buchają do góry: na około głucha panuje cisza i noc swe czarne rozpościera cienie: blask tylko płomieni oświeca bliższe przedmioty i twarze grzejących się przy ogniu wieśniaków, gotujących sobie grubą strawę, którą potém z większym zajadać będą apetytem, niżeli my zajadamy najwykwintniejsze włoskie łakocie. Lecz ten pobyt w lesie, jakkolwiek na chwilę powabny, jest w istocie niewygodny, zdrowiu szkodliwy. Wilgotne wyziewy mogłyby nas nabawić kataru. Atoli wieśniak, zahartowany ustawiczném na wolném powietrzu przebywaniem, bez względu na słotę i ostrość powietrza, nie uczuje zaraz ich szkodliwego wpływu: a choćby i uczuł, nie zważa na to, zwłaszcza, kiedy w boru ma zarobek jaki, n. p. kiedy bije sążnie, ścina i obrabia drzewo na budowlę, a szczególniéj, kiedy na budowlę okrętów dęby ścinają i w lesie obrabiają; lecz tém się trudnią najczęściéj klepkarze, cudzoziemcy, przybrawszy sobie polskich wieśniaków do pomocy. Mazur jest bitny, na trudy wszelkiego rodzaju wytrzymały i swemu monarsze wierny. Dowiedli tego tak nazwani kurpie, którzy w wojnie z Karólem XII. wszędzie prawie przed Szwedami siedziby swoje opuszczali, chroniąc się do borów. Lecz na tém nie kończył się ich opór i nienawiść przeciwko najezdnikowi i burzycielowi ich spokojności: tutaj poważyli się nawet wzbronić przeprawy wojsku, i nieraz utrudzali marsze Szwedów, którym kraj cały stał otworem.

Karnawał Rzymski.

(Dokończenie.)

Najstraszniéjszymi przeciwnikami w téj wojnie, są zazwyczaj Anglicy. Krużganek ich ambassady, i drugi leżący naprzeciw, przez jakiegoś Lorda najęty, były prawdziwą scyllą i charybdą, których nikt, ani się ustrzedz, ni bez szkody ominąć nie mógł. Słyszałem opowiadających, że w Neapolu, przed kilką laty, bawiący w tém mieście Anglicy, zbudowawszy z desek wspaniały okręt, na bardzo wysokim wozie, przez sześć wołów ciągniony, którego pokład do wysokości okien pierwszego piętra dochodził, powybijali konfettami wszystkie prawie szyby na ulicy Toledo. Nikt jednak za tę szkodę do odpowiedzialności pociągnąć ich nie śmiał; gdyż, bez dowodu, że to umyślnie zrobili, roszczenie prawa do zapłaty, byłoby ubliżeniem swobód karnawałowych, które każdy Włoch w drugich, dla samego siebie szanuje. Jakoż dziwić się trzeba, że w tak różnorodnéj massie ludu, z natury do porywczości skłonnego; i przy tak dotkliwéj zabawie, nie widziałem i nie słyszałem nawet o żadnéj kłótni, z tego powodu wynikłéj. A jednak wiem z doświadczenia, jak trudno się wstrzymać od pierwszego uczucia gniewu, gdy kto z nienacka kamieniami w twarz sypnie, od których ból, nawet i przez suknie dochodzi; wolno oddać, jeśli się uda, ale się obrażać nie godzi. I wyznać trzeba, że na tym punkcie panuje zupełna równość. Najmniéjszy chłopczyk może podbić, a choćby i wybić oczy najbogatszemu panu, nie lękając się w najmniejszéj części losu owego Ezopowego chłopca, którego, jak wiadomo, dowcipnie mszczący się mędrzec, do podobnéj kiedyś psoty namówił. Ilość zużytych konfettów, jest miarą wesołości dnia; im więcéj widzisz plam białych na sukniach, a sinych i czerwonych na twarzach, tém pewniéj możesz zaręczyć, że się bawiono wesoło. Dopiero o godzinie szóstéj wieczorem, wystrzał z moździerza, na placu del popolo, daje hasło zawieszenia broni — do jutra. Natychmiast wszystkie powozy zjeżdżają w boczne ulice, piesza zaś publiczność ciśnie się do domów, do okien, lub zasiada, za opłatą, ławki i krzesła, koło murów stojące. W kilka minut ulica środkiem staje się pustą; bielącą się, jak śniegiem, massą zdeptanych konfettów.

Zaczyna się akt drugi codziennéj zabawy: kurs koni, (corso de Cavalli) samemu tylko Rzymowi właściwy. Nie są to zwykłe w innych krajach wyścigi, gdzie się jeźdcy na koniach ubiegają do mety; tu same tylko konie, w zastępstwie żydów, jak mówiłem wyżéj, bawią chciwą widowisk publiczność. Gdy za drugim wystrzałem z moździerza, oddział konnych żandarmów przeleci w największym pędzie ulicę i przekona się, że wszelkie zawady uprzątnione zostały; powrót jego na plac del popolo jest hasłem do puszczenia koni (mossa de Cavalli).

Na samym środku placu wznosi się wysoki, drewniany amfiteatr, o egipski obelisk oparty i czerwoném suknem okryty: miejsce najdroższe ze wszystkich. — Przed nim ustawiają się na prędce przeoryny, wtykając je ostremi końcami do gotowych już w ziemi otworów. Barbareski, tak się zwą masztalerze z turecka ubrani, prowadzą po dwóch i czterech, rżące i wspinające się konie, które z najlepszych stad wzięte, nie starsze nad lat trzy i całkiem niejeżdżone być powinny. Cała sierść popisana biało, każdego swoim numerem; nad czołem ogromna kita z piór, coraz innego koloru; mają nadto poprzywięzywane do boków kawałki cienkiéj blachy lub złocistego papieru, którychby szelest straszył je i naglił do biegu. Oprócz tego masztalerze, stawając w przeorynach, biją je, kolą, smagają, i krzyczą przeraźliwie, aby je jak można rozzarzyć. Za trzecim strzałem z moździerza, dźwięk trąb daje hasło puszczenia, sznur wyciągnięty przed przeorynami, upada, i konie raz jeszcze biczem zacięte, puszczają się jak szalone, ażeby uciec hałasu. Próżna wszakże nadzieja nieszczęśliwych zwierząt, trafiają z deszczu pod rynnę. Wszystko, co żyje na ulicy, krzyczy, gwiżdże, klaszcze i macha rękoma, używając wszelkich sposobów, by ich przestrach i zapał pomnożyć; tak, że niekiedy w brew celu, ogłupiałe i ogłuszone hałasem konie, zatrzymują się nagle w pół drogi, mniéj szybkiemu, lecz obojętniejszemu ustępując pierwszeństwa. Z drugiego końca Corso, przed placem weneckim, rozwieszone są płótna, w szerz całéj ulicy; koń, co się pierwszy o nie uderzy, przynosi właścicielowi nagrodę od 20—25 szkudów, powiększającą się codzień, i tak zwane pallio: kawał szkarłatnego sukna; trofej i drogą pamiątkę zwycięstwa. Jeśliby kilka koni razem dobiegło do mety, żaden nie bierze nagrody; pieniądze rozdają się na szpitale, a pallio zawiesza się w kościele ś. Antoniego, opata, patrona zwierząt, gdzie je corocznie na processyi, w dzień jego święta, obnoszą. Jak skoro konie przebiegły, tłum rozchodzić się zaczyna; spieszą spocząć po domach, lub bawić się jeszcze w teatrach, gdyż nikomu już na ulicy znajdować się w masce nie wolno.

We wtorek tylko zapustny, do dwóch poprzedzających, przydaje się akt trzeci i ostatni: Moccoli czy Moccoletti. Są to długie cienkie woskowe świeczki, które każdy na ulicy, w powozach, po krużgankach i w oknach, po kilka, kilkanaście, i po kilkadziesiąt nawet, zapala, mieszcząc je wtedy na przytwierdzonych do końca kija, gwiaździe, krzyżu, obrączce. Cała, zda się, ulica, gore jednym płomieniem. Wnet po przebiegu koni, maski i powozy wracają. Ruch, zgiełk, krzyk, zamieszanie większe jeszcze, niż pierwéj, o konfettach nikt już nie myśli; teraz rzecz idzie o to, kto komu świeczki pogasi. Na piechotnych dosyć dmuchnienia, do powozów trzeba szturmować, wskakiwać na stopnie lub z tyłu; lub też chustką na kiju wiatr robić. Walka wesoła, lecz nie równa; łatwiéj wyższy niższemu dokuczy. Ztąd też, jak w wojnie konfettów, wrogiem powozów są krużganki. Ztamtąd to spuszczają się płócienne chorągwie, pęki piór, wachlarze z strzyżonego papieru, po sto świeczek razem gaszące. Hasłem napastników jest okrzyk: é spento il carnevale, (zgasł karnawał). — „Żyje jeszcze!“ odpowiada z tryumfem napastowany, jeżeli świeczki swoje od zgaszenia uchronił. Inaczéj, musi prędko zapalać je na nowo, bo go zagłuszają okrzyki: Vergogna senza moccoli, „wstyd bez świeczek!“ Każdy w tém chętnie drugiemu użycza pomocy i ognia, jeśli tylko, wziąwszy do zapalania, wraz z świeczką nie uciecze. Nie podobna sobie wyobrazić tego blasku, ruchu, hałasu, jaki w téj chwili na całéj ulicy panuje. Podróżny, który był świadkiem téj sceny, powtórzy, pewny jestem, wraz ze mną: że nigdy ani weselszéj, ani piękniejszéj nie widział.

*O.

Halicz.

Jadąc od Lwowa na Pokucie, w onę nader żyzną i położeniem swojém górzystém piękną krainę; napotykasz w drogi połowie, miasteczko Bursztyn. Jeżeli widok okazałego tamże pałacu, uderzy, obszerny park angielski zachwyci ciebie, miasto samo z kilkuset domów, wedle jednéj planty murowanych, złożone, milsze jeszcze uczyni wrażenie; bo przedstawia tobie obraz porządku i ochłudności, jakiéj (śmiało rzec można) w żadném gallicyjskiém nie napotkasz mieście, i nie możesz się wstrzymać od tego, ażebyś nie przejął się szacunkiem dla onegoż dziedzica, Ignacego Hr. Skarbka, którego staraniem i wsparciem, mieszczanie, wygodne pomieszkania, miasto, powabną swoją otrzymało postać. Minąwszy to miasto, widzisz pasmo gór, ciągnących się od południa ku zachodowi; zbliżony do nich, postrzeżesz na szczycie wzgórza, wznoszącego się nad Dniestrem, zwaliska zamku, zaś u podnoża góry, garstkę domków i dwa panujące nad niemi kościoły.

Te zwaliska są ostatkami Halickiego zamku; a te domki drewniane, liczbę dwiestu nie przenoszące, stanowią miasto Halicz, niegdyś udzielnego xięstwa stołeczne, dziś obszernéj prowincyi dające nazwanie swoje.

Zaiste Halicz zamarł w rzeczywistości; imię jego stało się zabytkiem dziejów; a przecież dzieje tego starożytnego miasta i grodu, nie miały swojego opowiadacza; nie miał Halicz domowego kronikarza swojego, któryby wypadki jego i koleje losu wyliczał z osobna; dziś dziejopisarza niema, ani śpiewaka, któryby zanucił pieśń przeszłości jego. Któż nie postrzega, jak wraz z wzmagającém się zamiłowaniem przeszłości naszéj, wzmaga się u nas i upowszechnia chwalebna do jéj poznania ochota; zatém otuchę mieć należy, iż znajdzie się taki, co porozrzucane w kronikach



Halicz.

polskich, ruskich i węgierskich, Halicza tyczące się data, pozbierawszy i zjąwszy w jedno, skreśli dzieje tego miasta, i zapełni tę szczerbę w historyi naszéj.

W piśmie niniejszém, króciuchny tylko rys dziejów Halicza miejsce mieć może, i taki umieszczamy. Nie zapuszczając się w niepewną i ciemną (co do daty) epokę założenia miasta; ani przywodząc zdania pisarzy, a w szczególności Herza, twierdzącego, iż Halicza osada, Grekom



Krezus, król Lidyi, wskazany na śmierć.

jeszcze znana, od greckiego języka dostała nazwanie swoje, mianowicie od wyrazu Al, co sól oznacza; napomknimy, iż to nazwanie Halickiego xięstwa, pojawia się w kronikach naszych około roku 1100. Bogufał pierwszy daje tytuł: rex Halitiae, Świętopełkowi, Kijowskiemu xięciu, który otrzymawszy za zgodą ruskich panów, w Wiatyczy roku 1100 zgromadzonych Włodzimirską ziemię, mocą oręża zagarnął pod berło swoje Trembowelską, i nazwał je xięstwem Halickiém, od zamku Halicza, nad Dniestrem położonego.

Od téj epoki, do roku 1180, kiedy syn Beli IIIgo, węgierskiego króla, Andrzéj, rządził tą ziemią w przeciągu lat 80ciu, dzierżyli je xiążęta ruscy: Jarosław, Włodzimierz Kijowski, Wszewłodowicz, Jarosław, po którym syn tegoż nastąpił, Mścisław. Atoli, Włodzimierz młodszy, Jarosławowicz, roszcząc sobie prawo do Halicza, celem zyskania pomocy po kilkokrotnie udawał się do Beli IIIgo, który znudzony naprzykrzaniami się Rusina, wtrącił go do więzienia, a syna swego Andrzeja wprowadził do Halicza. Andrzej, ogłoszony królem, pisał się rex Hungariae nec non Galatiae.

Nie długie było panowanie Andrzeja; Włodzimierz, uciekłszy z niewoli, u Kaźmierza, króla Polskiego, wyżebrawszy pomoc, owładał Halicz i panował w nim do roku 1198.

(Koniec nastąpi.)

Cyrus (555 przed Chr.) *)

Astyagesowi, królowi Medów, śniło się jednéj nocy, iż z jego córki Mandany wyrosło drzewo ogromne, cieniem swoim całą Azyą okrywające. Zapytani wieszczkowie, w tym kraju wielce poważani, coby ten osobliwy sen miał znaczyć? odpowiedzieli: że córka porodzi syna, który całą Azyą opanuje. Przeląkł się Astyages; a niechcąc być przez swego wnuka z tronu zrzuconym, oddalił Mandanę do Persyi, prowincyi wtenczas medyjskiéj, i wydał ją za pospolitego Persa, nazwiskiem Kambyzesa. Następującego roku, miał znowu Astyages sen zupełnie podobny. Strwożony król, sprowadził córkę do siebie, a gdy ta niedługo powiła syna, kazał przywołać jednego z dworzan, Harpaga, i oddał mu nowo narodzone dziecię, z rozkazem, aby je w dzikich górach porzucił, na niechybną zatratę. Harpagus odebrawszy dziecko, oddalił się ze łzami w oczach, nie mógł bowiem przewieść na sobie, aby miał sam zgładzić ze świata niewinną dziecinę; ale obawiając się gniewu królewskiego, oddał je pewnemu pasterzowi, który je miał na bezdrożach porzucić. Poczciwy pasterz, wzruszony litością, nie wypełnił okrutnego rozkazu, lecz zaniósł pięknego chłopczynę swéj żonie, któréj właśnie

*) Jest to wyimek z historyi powszechnéj, dla użytku początkowéj młodzieży popularnie napisanéj, która nie długo z druku wyjdzie, i niechybnie znacznie się przyłoży do upowszechnienia i zamiłowania téj ważnéj nauki.

dziecko było umarło. Ubrali więc swoje umarłe dziecię w drogie szaty Cyrusowe, i wysadzili, jak rozkazano. Wysłany po niejakim czasie sługa Harpagusowy, i zaprowadzony na owo miéjsce przez pasterza, znalazłszy dziecko nieżywe, pochował je, i doniósł panu swemu o wykonaniu rozkazu.

Tymczasem Cyrus wzrastał swobodnie pomiędzy pasterzami. Wesoły jak owieczka, bujał po błoniach, igrając z innemi dziećmi, które go wszystkie, dla jego wesołości i roztropności, polubiły, i w grach zawsze go królem swoim obierały. Razu pewnego, bawił się także z niemi syn pewnego znakomitego Meda. Gdy Cyrus znowu królem obrany, wydawał rozkazy, dumny panicz słuchać ich nie chciał; nasz odważny pastuszek, nie wiele myślący, wychłostał go porządnie za to nieposłuszeństwo. Z płaczem pobiegł tenże do domu, i oskarżył przed ojcem Cyrusa; ten udał się niezwłocznie do króla, żądając przykładnéj kary za takie zuchwalstwo.

Król rozgniewany, kazał zawołać pasterza wraz z synem: „Jakże mogłeś się poważyć“, powstał na Cyrusa, „zelżyć tak haniebnie syna znakomitego człowieka?“ Królu, odpowiedział śmiało Cyrus, on tylko zasłużoną odebrał karę. Chłopcy, między którymi i on się znajdował, obrali mnie w grze królem; wszyscy inni wykonywali moje rozkazy, on tylko jeden był nieposłuszny i ubliżył mój godności: Za tom go ukarał; jeżelim zawinił, rób zemną, co chcesz.

Śmiała odpowiedź chłopca, wznieciła zaraz w królu podejrzenie: szlachetna jego postawa, rysy twarzy i uderzające podobieństwo do córki, nakoniec wiek jego, wszystko to utwierdzało go w przekonaniu, że ten chłopiec jest synem Mandany. „Kto ci dał tego chłopca“, rzekł król groźnie do pasterza. Ten, ze strachu, wszystko wyznał. Król kazał zawołać Harpaga, a gdy się stawił, zapytał go, jak wykonał rozkaz względem stracenia syna Mandany? Harpagus przelękniony, widząc pasterza, opowiedział rzecz całą, jak się wydarzyła. Astyages pokrył swój gniew, a udając, że się cieszy z ocalenia swego wnuka, dał wspaniałą ucztę. „I ty będziesz dziś moim gościem“, rzekł do Harpaga; „ale wprzód przyślij mi swego synka, aby się z Cyrusem zabawił.“ Ta niespodziewana łaska ucieszyła bardzo dworaka. Pobiegł spiesznie do domu, i posłał natychmiast swego jedynaka do dworu. Ale, o zgrozo! Astyages rozkazał zamordować, zarznąć nieszczęśliwą dziecinę, pokrajać w kawałki, ugotować, i dać ojcu do zjedzenia. Nieszczęsny Harpagus, nie wiedział o niczém jedząc te okropne potrawy. Po stole, zapytał go Astyages: jakby mu potrawa smakowała? Wybornie, odpowiedział uraczony dworak. A wieszże też, dodał z okrutném urąganiem Astyages, jakiéj skosztowałeś zwierzyny? I na skinienie króla wniesli słudzy do pokoju kosz przykryty, w którym się głowa, ręce i nogi zamordowanego dziecięcia znajdowały. Jak gdyby mu kto sztyletem serce przeszył, zdrętwiał osłupiały ojciec na ten straszliwy widok; lecz nie mogąc wywrzeć swéj zemsty na zabójcy swego syna, ukrył ją w głębi zranionego serca, a zabrawszy skrwawione członki, oddalił się do domu, aby je pochować.

Tymczasem, usłużni wieszczkowie, uspokoili obawę Astyagesa tém oświadczeniem, że sen jego już się właściwie spełnił, ponieważ Cyrus od chłopców królem obrany został, i że panowanie jego już się skończyło. Ucieszony Astyages odesłał dziecię rodzicom do Persyi. Trudno opisać radość, jaką uczuli z oglądania dziecka, które już mieli za stracone.

Tu, pod okiem rodziców, wzrastał Cyrus, pomiędzy bitnymi Persami uczył się, jak być wstrzemięźliwym, odważnym, na trudy wytrzymałym. Po niejakim czasie przywołał go Astyages, wraz z matką, do dworu. Chłopiec przywykły do mierności i prostych potraw, zdziwił się niemało, widząc otaczających go Medyjskich panów tak cudnie wystrojonych, a nawet i króla na tronie tak pięknie wymuskanego i uróżowanego. Cyrus, wszedłszy do sali, poskoczył zaraz do swego wystrojonego dziadka, objął go za szyję, i zawołał: o jakże ładnego mam dziadka! A czy piękniéjszy od twego ojca, rzekła z uśmiechem matka. Między Persami, jest mój ojciec najpiękniéjszy, ale między Medami, niemasz nad mego dziadka ładniejszego. Starcowi podobała się ta odpowiedź, udarował go hojnie i obok siebie przy stole umieścił. Tu Cyrus zdumiał się znowu nad mnóstwem potraw, któremi stoły były zastawione. „Dziadku“, zawołał, „ileż to pracy podejmować musisz, nim się nasycisz, kosztując każdéj z tych niezliczonych potraw.“ Astyages rozśmiał się i rzekł: czyż tu nielepiéj, jak w Persyi? — Nie wiem, odpowiedział Cyrus, ale my daleko prędzéj i łatwiéj się nasycamy. My przestajemy na chlebie i mięsie, wy zaś ileż to potrzebujecie zachodu, nim tegoż samego dokażecie? Z polecenia swego dziadka, rozdzielił pozostałe potrawy pomiędzy sług królewskich: wszyscy dostali swoje porcye, tylko Sakas, podczaszy i faworyt króla, nic nie dostał. Czemuż się temu nic nie dostało, zapytał się król żartem, chociaż tak zręcznie wino nalewać umie? To i ja potrafię, odparł Cyrus, i nie wypiję, jak on, kielicha do połowy. Poczém wziął puchar, nalał wina i podał go z wielką zręcznością królowi. Nu! rzekł król, trzeba wprzód skosztować! „Tego ja nie uczynię“, odpowie chłopczyna, „bo to trucizna. Przekonałem się o tém na ostatnim u was bankiecie. Co to był za hałas? jaka wrzawa, śmiech, krzyki! Śpiewacy dobywali głosu, aż ich gardło bolało, a niemożna ich było słyszeć. Siedząc, chełpiliście się z swéj mocy, a gdyście chcieli wstać, nie mogliście się na nogach utrzymać, i nie jeden pod stół się powalił. Wszyscy straciliście rozum, tyś nie wiedział, żeś królem, oni, że są twoi poddani.“ Te i podobne dowcipne

odpowiedzi, zjednały mu przychylność dziadka; podarował mu najpiękniéjszego konia, brał go z sobą na polowanie i wymyślał dla niego rozliczne zabawy. Harpagus miał Cyrusa na oku, cieszył się w sercu i milczał.

Cyrus uwalnia Persów od jarzma Medów.

Potém powrócił Cyrus do Persyi, i niedługo przez swe męztwo, powszechną sobie między ziomkami zjednał wziętość. Pewnego dnia, dostał od Harpaga w podarunku zająca; zdziwił się, odebrawszy z tak dalekiéj strony zwierzynę, tém bardziéj, gdy posłaniec przestrzegł, aby go na osobności i bez świadków otworzył. Uczynił to i znalazł w nim list: „wiesz Cyrusie,“ stało w tym liście, „że jedynie przezemnie ocalonym zostałeś; lecz i to równie ci wiadomo, ile z twéj przyczyny cierpiałem. Wspólne nasze krzywdy, dotąd niezostały pomszczone. Stań na czele dzielnych Persów, skrusz jarzmo okrutnego dziada twego, a oswobodzisz twój naród.“ Zamiar ten spodobał się Cyrusowi. Trzymając list w ręku, stanął między zgromadzonym ludem i rzekł: „Na mocy tego listu, postanowiony jestem od Astyagesa waszym dowódzcą i rozkazuję wam, ażebyście jutro stawili się z narzędziami do pracy!“ Cały dzień zajęci ciężką robotą, cierniste pole karczować i uprawiać musieli. Wieczorem, zalecił im znowu, aby się i nazajutrz stawili, przystojnie ubrani. Tą razą kazał im się rozłożyć na rozkosznéj łące, częstował ich owocami, winem i mięsiwem. Gdy sobie podochocili, stanął Cyrus w ich kole i rzekł: „kochani ziomkowie! któryż dzień bardziéj wam się podoba, wczorajszy czy dzisiejszy?“ Jakże możesz się o to pytać, zawołali wszyscy; wczoraj pracowaliśmy, jak niewolnicy, dziś bankietujemy, jak panowie. Takimi panami zawsze być możecie, „odparł Cyrus, jeżeli skruszycie jarzmo Medów. Za mną „więc, a będziecie wolni!“

Persowie, od dawna już niecierpliwie znosili panowanie Medów, odpadli więc od nich, i Cyrusa królem swoim ogłosili. Astyages, dowiedziawszy się o rokoszu Persów, wysłał na ich poskromienie liczne wojsko, którego dowództwo Harpagusowi powierzył. Ten, przez zemstę, przeszedł z całém wojskiem na stronę Cyrusa. Wtedy król zapalony gniewem, rozkazał wszystkich wieszczków wbić okrutnie na krzyż, a zebrawszy powtórnie wojsko, wyruszył sam przeciw Cyrusowi; lecz od niego pobity i w niewolą wzięty został. Cyrus obszedł się z nim bardzo łagodnie i zatrzymał go aż do śmierci przy sobie. Tym sposobem panowanie Medów przeszło do Persów.

(Koniec nastąpi.)

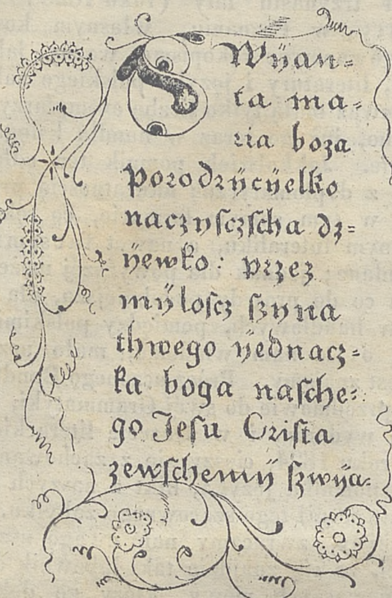
Książeczka, na któréj się modliła Ś. Jadwiga.

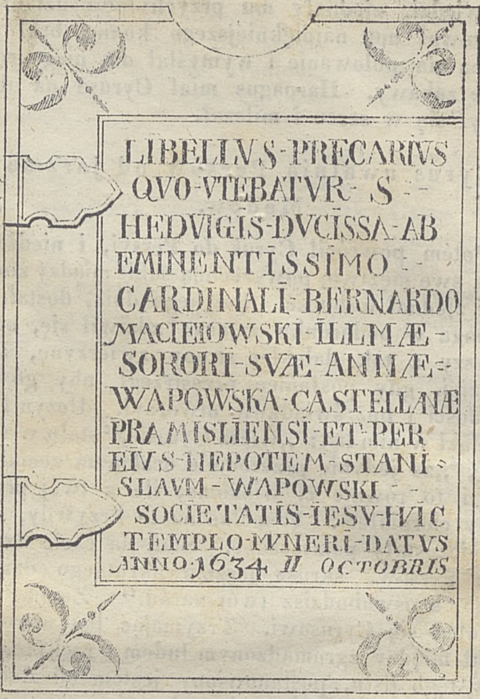
Przed trzynastu laty (roku 1823) wydał Pr. Motty w Poznaniu, własnym kosztem, z jedynego zapewne rękopismu, ważny, jak nam się zdaje, literatury i języka polskiego zabytek; lecz ponieważ małą tylko liczbę exemplarzy (260) wytłoczono, już go teraz w handlu księgarskim niedostanie. Jakkolwiek pomnik ten odległych wieków, z dyplomatyczną akuratnością przedrukowany, w tym samym formacie, co rękopism, w podobnym futeraliku, a nawet facsimile na końcu dodane; jednak dla powyższéj może przyczyny, a co do prawdy podobniéjsza, dla braku związków handlowych, pomiędzy polskimi księgarzami, o ile nam wiadomo, mało uczonemu światu jest znajomy. Prócz uczonego Bandtkiego, który w przedmowie do swéj Grammatyki, w najnowszém wydaniu, i w Gazecie literackiéj halskiéj, z roku 1824, cieszy się z zachowania tak ważnego pomnika języka, nikt z naszych bibliografów nie ocenił tego szacownego zabytku. Z téj to przyczyny, zwracamy nań uwagę uczonych, w nadziei, że się znajdzie taki lubownik dawnéj przodków naszych mowy, który go dokładnie oceni, i przyzwoite mu w literaturze ojczystéj wskaże miejsce. Tutaj, winniśmy wynurzyć wdzięczność szanownemu Wydawcy, iż ten, lubo na obcéj urodzony ziemi, w przybranéj nowéj ojczyznie, przez kilkudziesiątletnią pracę nauczycielską, nabywszy prawa obywatelstwa, nie szczędził ani pracy, ni kosztów, na ocalenie od zatraty ważnego dziełka.

Książeczka ta dostała się z kollegium Poznańskiego, przez pewnego Jezuitę, którego po zniesieniu zakonu była własnością, do rąk familii Gozimirskich, zachowana w skrzyneczce srebrnéj, którą w futeraliku wydawca wiernie naśladował. Na prawéj stronie jest napis: „Libellus praecarius, quo utebatur S. Hedvigis Ducissa, ab eminentissimo Cardinali Bernardo Maciejowski illmae sorori suae Annae Wapowska, Castellaneae Praemisliensi et per ejus nepotem Stanislaum Wapowski Societatis Jesu, huic templo muneri datus est. Anno 1634.“ *)

Wydawca nie śmie zdania swego wynurzyć, któréj właściwie Jadwigi książeczka ta była własnością: czy Ś. Jadwigi, któréj życie w N. 52. Przyj. Ludu r. II. opisaliśmy; czy też królowéj Jadwigi, małżonki Jagiełły, zgasłéj w kwiecie wieku swego, roku 1339, czy innéj jakiéj xiężniczki tego imienia. Największe jest podobieństwo, że ta książeczka była własnością królowéj Jadwigi, która, jak wiadomo z Długosza, nietylko pismo ś. (psałterz Jadwigi) na polski

*) Książeczka do nabożeństwa, na któréj się modliła Ś. Jadwiga xiężna, przez Kard. Bern. Maciejowskiego JW. siostrze swéj Annie Wappowskiéj, kasztelanowéj przemyskiéj, a przez jéj wnuka Stan. Wapowskiego Jezuitę, temu kościołowi ofiarowana roku 1634.





Książeczka, na któréj się modliła Ś. Jadwiga.

język tłumaczyć, ale nadto książki do nabożeństwa, w polskim języku, pisać kazała i lubiła się na nich modlić. Ortografia także do tłumaczonego w kilkadziesiąt lat późniéj statutu litewskiego bardzo podobna, zdaje się potwierdzać nasz domysł. Gdy przeciwnie o Ś. Jadwidze szląskiéj, żyjącéj przeszło półtora wieku wcześniéj, z którego to czasu żadnych niemamy piśmiennych w polskim języku pomników, niewiadomo wcale, czy polskich ksiażek do nabożeństwa używała, zwłaszcza, że tak starannie Szląsk osadnikami niemieckimi zaludniała.

W osnowie, mimo liczne powtarzania, natrafiamy myśli proste, lecz piękne wyrażenia. Pisownia, jak we wszystkich prawie starożytnych zabytkach, niejednostajna. I tak wyraz święty, znajduje się napisany: szwianthy-swiathy-szwąthy-szwyty. W końcu, dołączamy obrazek futeralika czyli skrzyneczki srebrnéj, w którym się ten rękopism znajdował (czy się jeszcze znajduje?) tudzież facsimile, wraz z krótkim wyimkiem, aby czytelnicy sami o wartości i starożytności dziełka sądzić mogli.

Rękopism nie mający żadnego tytułu, zaczyna się jak następuje:

„Swyanta maria boza porodzycyelko naczyscszcha dzyewko; przez myloscz szyna thwego yednaczka boga naschego Jesu Crista ze wschemy szwyatymi y vybranymi bozymy Przydzy na pomocz mnye: a racz proszycz za mna grzeschnycza: Bo moya dvscha w draczenyu polozona yest y thy moy duch mylosczywa obezrzycz wolayaczy ktobye vyslvchay mye namyloscyzwicha czyebye bogoszlawya wszystky rodowye: Bo thobye uczynił vyelkoscz genze moczen yest y szwyanthe gymye yego: Ty chwalebna krolyewno nyebyeska czyebye proschą bogoslawyona dzyewko szwyantha maria przez swyathe thwe narodzenye, wyem ze sztworzyczyelya wszchego lyvdu porodzyla yesz yz byla wnye nadzvyczy na pomocz w dzyen szkonanya mego ze wschemy szwyathymi przez szwyanthy krzyz na nym ze szyn thwoy przybyt byl czyebye vcznyowy szwemu Janowy polieczył: rzekacz owo macz twoga przez yego gymya myloscyy pomoczy mnye nadznyczy we wszech rzeczach w gychże mnye udraczona poznalesz.“

Święta Marya, boża rodzicielko, najczystsza panno (dziewko): przez miłość syna twego, jedynego, Boga naszego, Jezusa Chrystusa, ze wszystkimi świętymi i wybranymi bożymi, przyjdź mi na pomoc, i racz prosić za mną grzeszną: bo moja dusza jest w udręczeniu. Wejrzyj miłościwa na duszę moją, wołającą ku tobie, wysłuchaj mnie najmiłościwsza. Ciebie błogosławią wszystkie narody: bo tobie uczynił wielkość, który mocen jest, i święte imię jego. Ty chwalebna królewno niebieska, ciebie proszę, błogosławiona panno (dziewko) święta Marya, przez święte twe narodzenie; wiem, żeś Stworzyciela wszystkiego ludu porodziła, żebyś mi przybyła nędznicy na pomoc, w dzień skonania mego, ze wszystkimi świętymi. Przez święty krzyż, na którym syn twój był przybity, i ciebie uczniowi swemu Janowi polecił rzekąc: oto jest matka twoja. Przez jego imię miłościwe, dopomóż mi nędznicy we wszystkich rzeczach, w których mnie udręczoną poznałaś.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)